

WYCHODŹCA

Organ Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego. — Tygodnik poświęcony sprawom emigracji i reemigracji.
pod redakcją BOHDANA LEPECKIEGO

Zadaniem Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego jest opieka nad wychodźstwem i ujęcie go w ruch świadomie twórczy z korzyścią dla kraju i jego obywateli.

Cztery listy z Kanady.

Jesteśmy w posiadaniu czterech listów, napisanych przez osadników polskich z pszennych prowincyj Kanady. Zamieszczamy je poniżej z pewnemi poprawkami stylistycznymi.

R e d.

LIST Z DUCHESS W PROWINCJI ALBERTA.

Otrzymałem wiele listów od Polaków z zapytaniem, jakie są warunki życia w tych stronach. I chociaż jestem zdatniejszy do pług, aniżeli do pióra, — pragnę jednak podzielić się wiadomościami, które może kogo zainteresują.

Miasteczko Duchess położone jest nad koleją Canadian Pacific, 30 mil ang. na wschód od Bassano. Pociąg przychodzi tu co drugi dzień. Znajdują się w nim dwa hotele, bank, dwa garaże i dwie szkoły. Kościół kat. mamy w Brooks i Patricia. Polaków tu nie ma, a znam tylko jedną rodzinę ukraińską, — której ojciec pracuje na sekcji.

Farmy są nawadniane, urodzaj mamy zawsze niezły. Hodujemy wszystko — wypasamy dużo świń, trzymamy bydło, konie, owce i dużo drobiu. Śmietanę odstawiamy do Bassano lub do Calgary. Jest obfitość siana i siejemy lucernę (alfalfę) służącą za nawóz. Latem jest dosyć roboty na farmie dla dwóch ludzi. Nawadnianie odbywa się dwa razy na rok — wody jest dosyć.

Robotnikowi na farmie płaci się od 50 do 70 dolarów miesięcznie. Klimat jest zdrowy, śniegu mało, a deszczów jeszcze mniej. Mrozów latem, któreby szkodziły zbożom, nie ma tutaj, wyjątkowo zdarzyło się to tylko w r. 1927. Woda do picia jest twarda i niedobra. Każdy ma studnię. Na zimę zaopatrujemy się w jesieni w wodę z rowów, która służy nam do picia i gotowania. W dniu 1-szym maja woda już płynie rowami.

Farmerzy stoją tu dość dobrze materialnie, lecz zdarzają się i biedni.

Obecnie dają lepsze warunki kupującym ziemię, aniżeli w czasie, kiedy ja tu się osiedliłem w r. 1920. Nie jestem żadnym agentem i nie mam nic na sprzedaż, ale życzyłbym sobie, aby więcej polskich ludzi znajdowała się w tych stronach. Każdy niemal przybywający tutaj, aby oddać się gospodarstwu, przechodzi niemal te same koleje, jakie ja przeszedłem. Przyjechałem tu ze St. Zjednoczonych, przywożąc ze sobą 5 tysięcy dolarów i kupiłem 251 akrów ziemi na wypłat i 4 konie. Orałem z początku końmi, lecz musiałem wynająć traktor, bo było za ciężko. Zasiałem na znacznym obszarze len, owies i pszenicę. Len wydał 15 buszli z akra, owies 50, a pszenica 20 buszli z akra. Obecnie, skoro się sieje lucernę na nawóz, pszenica wydaje przeciętnie 40 buszli z akra. W roku zeszłym dokupiłem 160 akrów. Kupować ziemię najlepiej na wiosnę lub latem — należy uważać na to, aby nie była piaszczysta, albo nie było dolów, wówczas bowiem jest trudna do nawodnienia. Każdemu, kto tu przybędzie, udzielię chętnie więcej informacji, o ile do mnie się zgłosi.

J. Pucilowski,
Duchess, Alberta.

LIST ZE SLAVE FALLS W PROWINCJI MANITOBA.

Pracuję tutaj drugi tydzień, dokąd zarząd miasta Winnipegu dla ulżenia bezrobotnym wysłał kilkudziesięciu ludzi do oczyszczenia drogi transmisyjnej dla przewodów elektrycznych od przyszłej elektrowni w Slave Falls do miasta. Rąbiemy szeroką linję przez las, który jest piękny i duży, drzewa mieszane, świerk, osika i brzoza. Często można

tutaj spotkać jelenie. Praca jest dosyć przyjemna wśród gąszczów leśnych; co pewien czas słychać wybuchy jakby strzałów baterij armatnich; odgłosy te pochodzą od rozbijania dynamitem skał nad tutejszym jeziorem, gdzie nad wodospadem ma stać elektrownia. Pomieszczenie mamy w namiotach płóciennych, ale jest dosyć ciepło spać, bo ogień nigdy nie gaśnie w wielkim piecu żelaznym, — tak, że nieraz trzeba zapobiegać, aby nie było za gorąco. Wieczorem słuchamy radja, które mamy w obozie. Na 55 robotników, jest trzech Polaków. Wszyscy są zadowoleni z tej pracy i dotychczas jeden tylko robotnik odjechał do Winnipegu na wiadomość o śmierci żony. Praca trwa 9 godzin dziennie. Płaca wynosi 42 c. na godzinę; za żywność płacimy 1.15 dol. za dzień. J. M.

LIST Z RHEIN W PROWINCJI SASKATCHEVAN.

Przybyłem przed półtora rokiem do Kanady z ojczystego kraju, pozostawiając żonę i troje dzieci na 2 morgach ziemi, w nadziei, że będę mógł pracą polepszyć swój los i przyjść z pomocą mym najbliższym. Zawiodłem się srodze, bo tułając się po farmach na zachodzie, trudno zarobić tyle, aby pomóc rodzinie i uwolnić się z długu zaciągniętego na podróż. Obecnie pracuję u farmera jedynie za utrzymanie.

Tęsknię za ojczyzną, a często ubolewam nad tem, że muszę tułać się na obczyźnie i szukać chleba po obcych kątach, zdala od swoich i nie widzę przed sobą lepszej przyszłości. Nie ja sam, ale setki, jeśli nie tysiące, jest nas tu w Kanadzie, — których bieda wypędziła z kraju, lecz i tu nie doznajemy rozkoszy. Kiedyż nastaną lepsze czasy dla nas, abyśmy nie potrzebowali tułać się po obcych krajach, lecz mogli pracować na własnym zagonie, a nie wzbogacać innych swą pracą? J. S.

LIST Z VEREGIN W PROWINCJI SASKATCHEVAN.

Przybyłem do Kanady, będąc małym chłopcem, w r. 1897. Przyjechało wówczas w te okolice około 100 rodzin z różnych stron dawnej Galicji i Bukowiny. Osiedlili się w miejscowości Hamilton, Sask., położonej około 22 mile na północny wschód od Yorktonu.

Początki były bardzo ciężkie, pracy nie można było nigdzie znaleźć. Za pracę przy budowie torów kolejowych płacono 75 centów na dzień, farmerzy zaś od 10 do 15 dolarów miesięcznie i to letnią porą. Trzeba było maszerować na piechotę aż do Brandonu, w Manitobie, bo w Saskatchewan farmerów było bardzo mało, a ci co byli na roli robili bardzo mało, bo częste mrozy latem niszczyły urodzaje. Zajmowali się więcej chowem bydła, wyrabiając z roku na rok po kawałku ziemi i siali przeważnie owies i jęczmień.

Dziś mamy tu ziemię pszeniczne, wydajność pszenicy bywa od 20 do 35 buszli z akra. Cena ziemi od 20 do 40 dolarów za akier. W roku zeszłym urodzaj był lichi z powodu posuchy — przeciętny omlot wynosił od 10 do 20 buszli z akra.

W tej okolicy zamieszkują przeważnie duchoborzy (sekcjarze rosyjscy — przyp. red.) i Ukraińcy — Polaków jest bardzo mało. Ukraińcy posiadają tu i ówdzie swe domy narodowe, my Polacy zaś nie robimy żadnego postępu w życiu zbiorowem i oświatowem. Dziś ludzkość dąży naprzód, a my tutaj idziemy z założonemi rękoma. — Dążmy więc do oświaty, a głównie starajmy się podtrzymać naszą polskość tu na obczyźnie i czynmy wszystko co jest możliwe w naszych warunkach, aby dzieci miały ducha polskiego i nie wypierały się swej narodowości. J. Brzeziński.

Ucieczka do lasów kolonistów polskich w Brazylii.

(dokończenie).

ZA PIONIERAMI POLSKIMI CIĄGNĄ OBCY.

W razie udostępnienia pewnych terenów przez polskich kolonistów, ciągną w ślad za nimi koloniści innych narodowości (nowi przybysze z Europy, albo z przyrostu naturalnego starych kolonji) a osiedlając się w pobliżu wytwarzają zczasem sytuację podobną do tej, jaka była na starej opuszczonej kolonji, ograniczając stopniowo możność rozsze-

rzania się nowego skupienia polskiego. Tylko w niektórych okolicach, jak np. na północno-zachodzie stanu Santa Catharina, gdzie akcją kolonizacyjną kierował ks. Kominek, długoletni proboszcz parafji polskiej w Itayopolis (dawniej Lucena), znający dobrze teren, akcja ta została przeprowadzona planowo i objęła większe zwarte obszary, leżące w bezpośrednim sąsiedztwie starych pol-

skich kolonij. W innych wypadkach t. zw. kolonizacja wtórna ma charakter przypadkowości, kierowanej instynktownym pragnieniem zdobycia największej ilości ziemi, nie posiada jasnego i obmyślanego programu i przyczynia się do rozpraszania się polskich kolonistów w Brazylii.

PIENIADZE, PIENIADZE I JESZCZE RAZ PIENIADZE...

Niestety, kierować nią jest bardzo trudno, gdyż odbywa się samorzutnie, chcąc zaś zyskać na ruch ten pewien wpływ potrzeba byłoby na to cośkolwiek funduszy. Fundusze te, niezbyt wysokie, *gdyż wystarczałaby np. suma 100.000 zł., którą możnaby zporotem czasem odzyskać po zrealizowaniu planu kolonizacyjnego*, potrzebne byłyby na zadatkowanie pewnego wybranego terenu, który następnie spłacałoby się w miarę otrzymywania spłat od kolonistów. Za sumę wymienioną możnaby łatwo stosunkowo zadatkować teren, na którym, wnioskując ogólnie, możnaby osiedlić, zależnie od okoliczności od 1500 do 2000 rodzin na działkach po 10 alkrów (t. j. 22,05 ha). W ten właśnie sposób powstało skupienie polskie w Queiroz. W roku 1921 utworzyło się w Kurytybie, za inicjatywą ówczesnego Konsula R. P. p. Głuchowskiego, Tow. Kolonizacyjne, które nabyło za niską stosunkowo sumę tereny od właściciela tychże p. Queiroz o powierzchni 6.500 alkrów = 16.250 ha.

Po wpłaceniu zaliczki, spłata tychże terenów odbywała się w miarę sprzedaży działek kolonistom.

BOHDAN LEPECKI.

Profesor Dyboski o Stanach Zjednoczonych.

W latach 1928 i 1929 odwiedził Stany Zjednoczone prof. Roman Dyboski. Znakomity ten uczony polski przejechał Amerykę wzdłuż i wszerz. Jako człowiek głęboko inteligentny, dużo zobaczył i potrafił swoje spostrzeżenia uogólnić, stworzyć pewną syntezę. Rezultatem jego podróży jest obszerna książka o Stanach Zjednoczonych*). Książkę profesora Dyboskiego cechuje głęboki optymizm i wiara w przyszłość narodu amerykańskiego. Nie jest to jednak bezkrytyczny hymn pochwalny na cześć Yankesów, lecz sumienne studjum uczonego,

*) Roman Dyboski: Stany Zjednoczone, Warszawa, 1930, nakładem „Książnicy-Atlas”.

W tychże okolicach — Larangeiras — zakupiło ostatnio „Polskie Tow. Kolonizacyjne” w Warszawie tereny pod kolonizację.

TERENY W QUEIROZ — CELEM WTÓRNEJ KOLONIZACJI?

Trzeba przypuścić, że podobnie jak było z powstaniem skupienia w Queiroz, tereny P. Tow. Kol. staną się celem wtórnej kolonizacji dla kolonistów osiadłych w Brazylii, co pozwoli ruch ten ująć na szereg lat w pewne ramy i nadać mu charakter bardziej zorganizowany. Tereny zakupione przez Pol. Tow. Kol. leżą na linii magistralnej Parany — Kurytyba — Prudentopolis — Guarapuava — Larangeiras — Foz do Iguassu, po której zapewne pobiegnie w niedługim czasie kolej doprowadzona obecnie do Guarapuavy. W związku z tem, tereny te z dobrą naogół ziemią i zdrowym klimatem nabierają na wartości i przenoszenie się w te okolice ze starszych kolonji z każdym rokiem wzrasta.

WYSZŁA Z DRUKU BROSZURA

BOHDANA LEPECKIEGO

p. t.

„STANY ZJEDNOCZONE A IMIGRACJA”
I JEST DO NABYCIA W POLSK. T-WIE EMIGRACYJNEM
CENA 1 ZŁ. CENA 1 ZŁ.

troskliwie sumującego wszelkie „za” i „przeciw”.

Profesor Dyboski jest pełen uwielbienia dla rozwoju techniki amerykańskiej, lecz jednocześnie wskazuje w dobitnych słowach na upadek rolnictwa w Stanach Zjednoczonych. Píše on:

UPADEK ROLNICTWA.

„W sierpniu roku 1929 jedna z gazet washingtonskich, by zwrócić uwagę na problem (ucieczki ze wsi do miast — przyp. red.), ubrała go w szatę sensacyjnego ogłoszenia o zgubie! *Zginęło w ostatnich dwudziestu latach cztery i pół miliona rolników, którzy się zabłąkali w naszych miastach przemysłowych. W razie odnalezienia uprasza się o zwrot do okręgów rolniczych. Wujaszek Sam*”.

Istotnie statystyka wykazuje, że w ciągu ostatnich lat dwudziestu, liczba ludności rolniczej w Stanach Zjednoczonych spadła z 38 do 27½ milionów i bez przerwy spada dalej. Rolnicy stanowią dziś

Zagraniczni robotnicy rolni na Śląsku.

Dnia 21 marca b. r. wygłosił przez radę wrocławskie Edwin Burchard, syndyk Związku pracodawców rolnych prowincyj: Dolny i Górny Śląsk odczyt na temat: „Die Deckung des Landwirtschaftlichen Saisonarbeiterbedarfs in Schlesien“. Poniżej podajemy streszczenie tego odczytu.

R e d.

ROBOTNIKIEM SEZONOWYM NIE MOŻE BYĆ BYLE KTO.

Rolnictwo niemieckie zatrudnia oprócz robotników stałych, zatrudnionych w ciągu całego roku także robotników sezonowych, potrzebnych do uzupełnienia robotników stałych na czas prac polnych. Mylnem jest bardzo rozpowszechnione mniemanie, jakoby prace robotnika sezonowego mógł byle kto spełniać. Robotnicy sezonowi muszą być wybitnie fachowo wyćwiczeni. Mylne również jest mniemanie, jakoby rolnictwo niemieckie zatrudniało przeważnie robotników sezonowych obcokrajowców. Zagraniczni robotnicy sezonowi stanowią zaledwie mały procent robotników sezonowych zatrudnionych w Niemczech. Olbrzymi odsetek robotników tej kategorii stanowią obywatele niemieccy.

SPROWADZANIE OBCYCH ROBOTNIKÓW BYŁO KONIECZNOŚCIĄ GOSPODARCZĄ.

Z chwilą zaprowadzenia przez rolnictwo niemieckie intensywnej gospodarki, rolnicy byli zmu-

szeni sprowadzać robotników zamiejscowych, początkowo z byłych prowincyj poznańskiej i zachodnio-pruskiej, oraz z Górnego Śląska, a w miarę zwiększania się zapotrzebowania wywołanego intensywnością gospodarki i przejściem robotników tubylców do przemysłu rozpoczęto sprowadzać robotników z Królestwa Polskiego i Galicji, aczkolwiek sprowadzanie tych robotników nasuwało poważne obawy ze względów politycznych.

Syndyk Burchard określił obszar uprawy gleby pod ziemniaki w roku 1914 na 1.200.000 ha w całych Niemczech a 480.000 ha pod uprawą buraków cukrowych.

W roku 1914 miało pracować w Niemczech 400.000 zagranicznych robotników rolnych, przeważnie Polaków i Rusinów.

W roku 1928 — 128.000 robotników. Kontyngent na rok 1930 ustalono w wysokości 109.000 robotników obcokrajowców. Na Śląsku pracowała w roku 1913 — 30.000 obcokrajowców a w roku 1929 — 5.800.

Głównym powodem zatrudnienia obcokrajowych robotników rolnych na Dolnym Śląsku (niemieckim) jest niewystarczająca ilość robotników tubylców fachowo wyćwiczonych. Taki sam objaw występuje w dolnośląskim przemyśle, który zatrudnia 2273 robotników obcokrajowców „specjalistów”.

mniej niż jedną piątą ogółu obywateli; cztery piąte wchłonęły miasta i przemysł. Pozostały zaś niewielki odłam rolniczy jest istotnie piętą achillesową organizmu gospodarczego Ameryki. Jest ofiarą postępującej szybko pauperyzacji i zagraża mu zupełna niemożliwość życia na roli. Według obliczeń senatora ze stanu Kansas, Artura Copper'a, wydawcy wielu pism rolniczych, wartość około sześciu milionów gospodarstw rolnych, znajdujących się w Stanach Zjednoczonych, w pięciu latach (1920 — 1925) spadła o 70 miliardów dolarów. Wartość płodów rolniczych w jednym roku spadła o trzy miljardy dolarów. A tymczasem podatki płacone przez rolników z 350 milionów dolarów w roku 1914 urosły do 900 milionów w r. 1926. Dalszy ciąg, a raczej rychły kres tego procesu społecznego, łatwo sobie wyobrazić, a na jakie niebezpieczeństwa narażony jest przez swe nienormalne położenie kraj całkowicie uprzemysłowiony i żywność swą z zewnątrz importujący, tego groźnym przykła-

dem jest Anglja w jej dzisiejszym stanie ostrego i przewlekłego przesilenia ekonomicznego”.

UNIwersytety CORAZ LEPSZE, MŁODZIEŻ CORAZ GORSZA.

Na innem znów miejscu prof. Dyboski mówi o świetnym wyposażeniu uniwersytetów amerykańskich, na które milionerzy tamtejsi rzucają ułamki swoich dochodów, jednocześnie zaś kreśli obraz upadku moralnego młodzieży amerykańskiej, któremu te wspaniałe wyposażone uczelnie nie są w możności skutecznie przeciwdziałać. „Patrzącemu na samo dzisiejsze życie amerykańskie — pisze prof. Dyboski — istotnie wydawać się musi, jakoby erotyzm, długo sztucznie tłumiony a przynajmniej ukrywany, owdlał teraz społeczeństwem z tem większą, demoniczną siłą. Nie tamuje go ani powszechne przyzwyczajenie do sportów, ani tolerancja, jaką się

SPROWADZANIE CUDZOZIEMSKICH SEZONOWCÓW ZALEŻY OD URZĘDÓW PRACY.

Zatrudnianie obcokrajowców przez rolnictwo niemieckie nie jest zależne od woli rolnika, lecz od decyzji urzędów pracy, które przed udzieleniem pozwolenia ściśle badają potrzebę takiego zezwolenia, starając się przytem usunąć niebezpieczeństwo narodowe.

Dolny Śląsk zatrudnia przede wszystkim robotników pochodzenia niemieckiego, pochodzących ze „zwróconych Polsce terenów“, z Huczyna, oraz dotychczas w małej jeszcze ilości z Austrii. Przez zatrudnianie tych robotników daje im się możliwość nawiązania na nowo węzłów braterskich z ludnością tutejszą, czem wzmacnia się ich poczucie narodowe. Oprócz owych osób rolnictwo dolnośląskie zatrudnia robotników Polaków, Rusinów, Słowaków i Czechów.

Warunki pracy i wynagrodzenie nie są bynajmniej ustalone przez pracodawców, lecz na zasadzie norm wydanych przez władze centralne po porozumieniu się z wielką ilością różnych czynników interesowanych. Wobec tego robotnicy obcokrajowcy otrzymują takie samo wynagrodzenie, jak robotnicy Niemcy, nie są więc gorzej sytuowani i tem samem nie można ich absolutnie uważać za tak zwanych „Lohndruckerów“ (t. j. obniżających płace).

Przez zaprowadzenie okresu karencyjnego uniemożliwiono robotnikom obcokrajowcom konkurencję robotnikom Niemcom w porze zimowej, gdy w rolnictwie jest mniej pracy.

Kontyngent robotników obcokrajowców na rok

1930 dla prowincyj: Dolno-i Górnośląskiej ustalono na 6.900 osób (?).

W ostatnich latach daje się odczuć wielki brak robotnika tubylczego, zwłaszcza kobiet, dla małych gospodarstw rolnych.

Z Tygodnia Polaka Emigranta.

BAL - RAUT.

Staraniem Komitetu Wykonawczego Tygodnia Polaka Emigranta odbył się w dniu 2 maja w sali Rady Miejskiej w Warszawie, wielki Raut-Bal p. n. „Powitanie Wiosny“. Dochód z Balu-Rautu, jak wiadomo, został przeznaczony na rzecz budowy „Domu Wychodźstwa Polskiego“. Sympatyczny cel imprezy zgromadził w salach Rady Miejskiej spory zastęp publiczności, która bawiła się ochoczo. Wśród gości widzieliśmy wielu dygnitarzy cywilnych i wojskowych.

STOLECZNY KOMITET „TYGODNIA EMIGRANTA POLAKA“.

Z inicjatywy Komisarza Rządu na m. stoł. Warszawę, p. Wojewody Kaweckiego, powstał stołeczny Komitet „TYGODNIA EMIGRANTA POLAKA“. Pierwsze organizacyjne zebranie Komitetu Stołecznego odbędzie się już w najbliższych dniach. Pracami organizacyjnymi kieruje inspektor starostw grodzkich przy Komisarzacie Rządu p. Szymański.

powszechnie przyznaje objawom czułości na zebraniach towarzyskich młodych ludzi i panien. Utał się nawet zabawny zwrot petting party („przyjęcie z karesami“) jako określenie typu zebrań, na których tego rodzaju czułości są niejako oficjalnie dopuszczone; a w ostatnich czasach coraz częściej — szczególnie w świecie studentów i studentek — określa się te jawne czułości dosadniejszym słowem necking („obejmowanie się za szyję“). Jak daleko posuwają się one za kulisami, tego wolno się tylko domyślać, widząc często pod wieczór, gdzieś w ustronnej okolicy przy drodze stojący samotnie zamknięty samochód o pogaszonych światłach; bo i w tym względzie samochód zaczyna w Ameryce zastępować wiele innych starszych urządzeń europejskich“.

WYCHODŹTWO POLSKIE.

Przechodząc do spraw polskich, autor pisze: „Starsze wychodźstwo pozostanie wierne tradycji

polskiej: tak. Ale cóż to starsze społeczeństwo w zbiorowym życiu wielkiej społeczności amerykańskiej znaczy? Niestety, bardzo niewiele. Cztery miliony robotników na usługach wielkiego kapitału, cztery miliony wyborców ślepo wydanych w ręce agitatorów politycznych — oto prawie wszystko. Zamknięci w „ghettach“ swych dzielnic, odgrożeni słabą znajomością języka i niewyrobieniem kulturalnym od wielkich zagadnień nowoczesnej cywilizacji amerykańskiej. Żadnego twórczego udziału w jej duchowym budownictwie nie wzięli. Żadnego też prawie czynnego udziału w jej kształtowaniu społecznym i politycznym dziś nie biorą. Dość wspomnieć, że znikomo mała grupa Norwegów w Ameryce 700.000 ludzi — ma siedmiu przedstawicieli w kongresie i wydała już jednego głośnego powieściopisarza amerykańskiego (Rollvaag'a), a cztery zgóra miliony Polaków dotychczas jednego tylko posła do kongresu wysłać zdołały (p. Sosnowskiego z Detroit), a o ich udziale w twórczości kul-

Wychodźstwo polskie w Brazylii i Stanach Zjednoczonych.

RÓŻNICE ZASADNICZE.

Pierwsze zasadnicze różnice, jakie występują wyraźnie przy zestawieniu tych dwóch ośrodków polskiego wychodźstwa, są to wiek, liczebność i charakter. Pod względem wieku emigracja polska do Stanów Zjednoczonych przewyższa tę drugą przynajmniej o całe ćwierćwiecze, wiemy zaś, że czas odgrywa również poważną rolę w życiu danej kolonii, choćby ze względu na dopasowanie do nowego otoczenia i zapoznanie się z warunkami bytu. Ściśle też związane z czasem są takie zjawiska, jak dorobek materialny i wychowanie nowego pokolenia w danym środowisku. Stąd pochodzi, że powstawanie wielkich dzisiejszych organizacji polskich w Stanach Zjednoczonych, jak również dużych warsztatów wydawniczych sięga półwiekowej przeszłości, podczas, gdy w Brazylii organizacje te są kilkanaście lat młodsze, zaś wydawnictwa przeważnie upadły. W ścisłym stosunku do powyższych zestawień ma się kwestja liczebności i charakteru obu emigracji.

Przeciętnie określając, wychodźstwo nasze w Ameryce Południowej, (a więc razem w Brazylii, Argentynie, Urugwaju i t. p.), jest dziesięciokrotnie mniejsze liczebnie od samej tylko kolonii polskiej w Stanach Zjednoczonych. W samej Brazylii można przyjąć za realny 200-tysięczny kontyngent.

turalnej amerykańskiej — poza wielkimi zasługami syna Modrzejewskiej, jako znakomitego budowniczego mostów — nie słyhać. O Niemcach i Skandynawach, osiadłych w Ameryce, sporo już w literaturze amerykańskiej pisano; nawet żywiołowi czeskiemu (liczebnie przecież daleko mniej znacznemu od naszego), znakomita autorka współczesna pani Willa Cather niedawno poświęciła osobną powieść *My Antonia*. O żywiole polskim głucho, i to niewątpliwie dlatego, że żywioł ten mimo swej liczebności nie zdobył sobie żadnego naprawdę poważnego udziału w kształtowaniu opinii amerykańskiej, czy to o sprawach wewnętrznych czy międzynarodowych“.

BŁOGOSŁAWIONA GŁUPOTA NORDYKÓW.

Wielkie nadzieje pokłada prof. Dyboski w młodzieży. Autor sądzi, że nie wynarodowi się ona, ponieważ дума nordyckich panów Ameryki jest —

CHARAKTERY.

Zgodzi się z tem każdy, że warunki bytowania wpływają w wysokim stopniu na kształtowanie się charakteru i poglądów nie tylko u jednostek, ale i całych społeczeństw. Podczas gdy emigracja polska do Stanów Zjednoczonych przyjęła od samego początku charakter przeważnie zarobkowy, który następnie uległ po większej części zmianie na stały, przedwojenny ruch wychodźczy do Brazylii i Argentyny z zasady przyjął cechę osiedleńczego i utrzymał się przy niej po dzień dzisiejszy.

Polski chłop małorolny czy też drobny rzemieślnik, wyjeżdżający za zarobkiem do Ameryki, zazwyczaj z nadzieją powrotu do kraju, z natury rzeczy inaczej układał swój program życiowy od swego brata, którego porwała gorączka emigracyjna do Brazylii, do ziemi obiecanej, do tych wielkich obszarów, z których obiecywał sobie stworzyć wspańiałe na wzór starokrajski folwarki.

Lecz pennsylwańskie kopalnie, choć zżarły siły i zdrowie polskiego chłopca, pozwoliły niejednemu ustalić swój byt i zapewnić go rodzinie, brazylijska puszcza pochłonęła dziesiątki tysięcy ofiar, a pozostałym przy życiu zapewniła w ciągu długich lat jeno wegetację, bez żadnych widoków na przyszłość. Oba te zjawiska wystąpiły jaskrawo tuż po wojnie światowej, kiedy rozpoczęła się masowa reemigracja ze Stanów Zjednoczonych do Polski,

na szczęście — poważną przeszkodą w amerykanizacji żywiołu polskiego w St. Zjednoczonych.

„Polak, z rodziców wychodźców pochodzący, choćby się najdokładniej zamerykanizował pod względem towarzyskim a nawet i kulturalnym, nigdy absolutnie narówni z Amerykanami rdzennymi traktowany nie będzie. Szczególnie teraz, po wojnie, przy nastrojach wrogich Amerykanom obcoplemiennym i przy zakorzenionym w przeciętnych umysłach amerykańskich pseudo-naukowym przesądzie o wyższości narodów północnych (Nordics), Polak zawsze wyczuje w postępowaniu współobywateli amerykańskich przynajmniej jakiś cień tej wzgardy, którą otwarcie i w grubszych formach okazywano jego rodzicom. Możemy błogosławić ten głupi szowinizm, który tak zwanym „stuprocentowym Amerykanom“ dyktuje takie postępowanie wobec żywiołów emigranckiego pochodzenia: bo dzięki jemu, jednostki pochodzenia polskiego w różnych sferach społecznych są zmuszone

podczas gdy w Brazylii wcale jej nie było. Tutejszy osadnik nie miał z czem wracać. Został on przykuty na całe życie do swego „szakra“, do tego kawałka wytrzebionej puszczy, na którym doczekał się po długiej mordędze żytniego półka i kępki pszenicy.

SMUTNE PIONIERSTWO.

Jeżeli zaś po wyjałowieniu nienawożonej gleby przenosi się jak Indjanin na świeże ziemie, czyni to w celu rozpoczynania od nowa swej pionierskiej roboty. Nie zdobędzie się on na zgromadzenie oszczędności, aby z niemi powracać do Ojczyzny. Trzydziemiesięczne zatem polskiej kolonji w Brazylii, to całkowicie ludzie związani z losami swych leśnych posiadłości. Nie można ich utożsamić z północno-amerykańskimi farmerami polskiego pochodzenia, zarówno z uwagi na odmienny rodzaj rolnictwa, jak i warunków bytu produkcji. W Paranie np. bliżej ośrodków komunikacji ziemie są już poważnie wyjałowione i wymagają ogromnego nakładu pracy, zaś nowizny bujniejsze dzieli ogromny dystans odległości od miast, utrudniający zbyt produktów.

Niemniejszą różnicę zauważyć można między elementem robotniczym, polega ona jednak na warunkach płacy w stosunku do utrzymania. Można by zaryzykować porównanie tej treści, że warunki bytu rzemieślnika polskiego w Brazylii równają się warunkom wyrobnika fabrycznego w Stanach Zjednoczonych.

RUCH KULTURALNO - OŚWIATOWY.

Od kilku lat stale czytując największe pisma polsko - amerykańskie i wyrobiłem sobie pewien po-

gląd na bieg spraw społeczno-narodowych tamtejszego wychodźstwa, co mi pozwoli może na wyciągnięcie kilku wniosków porównawczych w stosunku do kolonji polskiej w Brazylii. Jako dziennikarz wychodzę bowiem z założenia, że dobrze redagowane pismo jest naturalnem odzwierciedleniem życia społecznego tego odłamu społeczeństwa, który reprezentuje. Wśród polskiej prasy północno-amerykańskiej spotkałem zaś szereg pism solidnie redagowanych, należących do obozu postępowego. Otóż pod względem ruchu społeczno-narodowego i oświatowego wychodźstwo polskie, szczególnie w Brazylii, nie ustępuje bratniemu na Północy, a biorąc pod uwagę proporcjonalność, w szczególności pod względem oświatowo-narodowym, może i przewyższa. Mam tu na myśli szkoły świeckie elementarne, istniejące od lat przeciętnie trzydziestu, które zdążyły wychować pierwsze pokolenie. Słyszałem z ust naocznych świadków i czytałem wiele o amerykańskich szkołkach parafjalnych, co mi pozwala uczynić porównanie z tutejszemi szkołkami świeckimi na korzyść tych ostatnich, — o ile nie pod względem poziomu naukowego, to w każdym razie narodowego. Nauczycielami tutejszych szkół polskich nie byli może filozofowie, ale za to patrioci. Obok szkoły przeważnie prowadzono teatrzyk amatorski, choćby w celu zasilenia zawsze deficytowego budżetu towarzystw.

Organizacja społeczno - narodowa w Brazylii przeżywała różne koleje i zdobywała się w swoim czasie na centralizację w Kurytybie, to znów ulegała rozproszeniu (w ostatnich latach), atoli objaw ten należy w dużej mierze przypisać niedostatkom e-

grupować się razem — porostają polskie kluby po miastach, polskie fraternities po uniwersytetach i t. p. — i, co więcej, zgrupowani w ten sposób Amerykanie polskiego pochodzenia, zbroją się w poczucie swej odrębnej godności przeciwko lekceważeniu ze strony otoczenia, domagają się uznania jako pełnoprawni obywatele i pracują nad tem, by sobie zdobyć szacunek“.

Na zakończenie należy zaznaczyć, że najmniej może ze wszystkiego, co widział w Stanach Zjednoczonych, podobały się prof. Dyboski urządzenia polityczne. Prof. Dyboski wyraża podziw, iż Amerykanie, przy tak nędznej i sprzedajnej biurokracji, potrafią żyć i zbogacać się.

BŁĘDY KSIĄŻKI.

Do ujemnych stron książki należy mylnie zobrazowanie stosunków personalnych w zarządach instytucji polskich, zbyt politykowanie, oraz

błędne przedstawienie poziomu umysłowego dziennikarzy polsko-amerykańskich. Prof. Dyboski uważa za gwiazdy pierwszej wielkości i jedyne wyjątki: pp. Siemiradzkiego i Statkowskiego, nie wspominając zupełnie o takich utalentowanych dziennikarzach, jak Czesław Łukaszewicz, Tomasz Kozak, J. A. Staniewski, Zaklikiewicz i wielu innych, niegorszych od ich kolegów ze starego kraju. Bardzo szanujemy wymienionych przez prof. Dyboskiego dziennikarzy, ale nie możemy się zgodzić, aby mi byli *jedynymi* poważnymi dziennikarzami polskimi w St. Zjednoczonych. Są to jednak stosunkowo drobne błędy, które nie zmniejszają w sposób poważniejszy wartości książki. Każdy, kto interesuje się Stanami Zjednoczonymi, powinien przeczytać ciekawą książkę prof. Romana Dyboskiego.



konomicznemu. Kolonja liczy bardzo mały procent jednostek zamożnych. Ofiarność naszych mas osłabła w ostatnich latach. Mimo to stolica Polonji brazylijskiej — Kurytyba, liczyła po kilku profesorów uniwersytetu i do niedawna życie kulturalne polskie pulsowało tu intensywnie. Dość nadmienić, że w ciągu dwóch lat Kurytyba posiadała stały teatr polski, postawiony na doskonałym poziomie, na co się np. zdobyć nie może dotąd stolica Polonji północno-amerykańskiej Chicago. A warto zaznaczyć, że w Kurytybie nie było obok polskiego żadnego teatru innej narodowości, nawet brazylijskiego (i niema do dzisiaj) — a zatem Polacy na tem polu dzierżyli prym.

Dla usprawiedliwienia zaś braku centralizacji tutejszych zrzeszeń polskich przytoczyć należy tak ważną okoliczność, jak rozrzucenie osad polskich na ogromnych przestrzeniach, marną komunikację i, że 90 proc. środowisk polskich mieści się nie w miastach, lecz po kolonjach. W proporcji zaś do liczebności wychodźstwa tutejszego wypada przeciętnie jedno towarzystwo i szkoła na 250 — 300 rodzin.

WERBIŚCI I MISJONARZE.

Wychodźstwo polskie w Ameryce Południowej nie zna innego kleru, jak rzymsko-katolicki, w czem również tkwi różnica w zestawieniu z północno-amerykańskiem.

W tym czasie, gdy emigracja niemiecka do Brazylii przybrała szersze rozmiary, przydzielono do obsługi religijnej niemieckim katolikom zakon pod wezwaniem „Verbum Divini“, skąd utarła się nazwa „księży werbistów“. W zakonie tym było wielu zniemczonych Polaków śląskiego pochodzenia, i tych zwierzchność kościelna użyła do obsadzenia polskich parafij.

Wielu z nich dopiero na tem stanowisku czyniło próby nauczania się polskiego języka, wielu po dzień dzisiejszy włada nim bardzo słabo. Zakonnicy ci, przepojeni kulturą niemiecką, odnosili się do polskości z lekceważeniem. Zamiast więc popierać

organizację towarzystw oświatowych, tworzyli bractwa kościelne dla własnej wygody. Kiedy zaś za rzuconą ze strony nielicznej inteligencji inicjatywą, przystąpiono do organizacji świeckiego szkolnictwa prywatnego, wzorując się na starokrajkiem Towarzystwie Szkoły Ludowej, kler przeciwstawił mu natychmiast ochronki zakonne. Trwało to do czasu wojny światowej, gdyż po wojnie staraniem pierwszego konsula polskiego w Kurytybie sprowadzono misjonarzy z Krakowa, którzy mieli ze sprawami wyznaniowemi połączyć działalność patriotyczną wśród wychodźstwa. Misjonarze ci z różnych ochronek zakonnych i bractw różańcowych stworzyli organizację bardzo podobną do amerykańskiego Zjednoczenia Rzym. - Kat. i nazwali ją Związkiem „Oświaty“, w przeciwstawieniu do istniejącej przedtem „Kultury“.

WNIOSKI.

Wychodźstwo tutejsze jest pozbawione zupełnie tych wszystkich narodowych atrakcyj ze strony Macierzy, jakie np. dla północno-amerykańskiego stanowiły w ostatnich latach uroczystości Pułaskiego, wizyta prof. Dyboskiego, zwycięstwa polskiej jazdy, wystawa w Poznaniu, a nawet nieudane loty przez Atlantyk, i od czasu do czasu wyświetlenie jakiegoś narodowego filmu. Wycieczka tutejsza na Wystawę, marnie zorganizowana, stała się raczej przyczyną różnych kwasów, niżeli narodową atrakcją. Dusimy się w atmosferze beznadziejności i zniechęcenia, a podobny nastrój nie sprzyja żadnemu ruchowi społeczno-narodowemu. Ostatnimi czasy jedynym żywszym odruchem kolonji w Brazylii była organizacja polityczna w czasie wyborów prezydenta Unji brazylijskiej. Akcji tej przodował obóz postępowy, który jednakowoż nie może się zdobyć na własną społeczną centralę.

Wł. Wójcik.

Parana-Herwal, w lutym 1930 r.

Z PRASY KRAJOWEJ

PRZEZ SUMATRĘ — WYSPĘ ZWROTNIKOWĄ.

W „Ilustrowanym Kurjerze Codziennym“ pomieszczona została następująca ciekawa korespondencja z Sumatry (wielkiej wyspy, położonej w południowych wybrzeży azjatyckich):

„Jadąc koleją z Padang, miasta portowego na Sumatrze, do Sawah Loento i obeserwując krajobraz olbrzymiej Sumatry, widzi się ustawicznie ludne ruchliwe kampony, szerokie asfaltowe drogi, prowadzone w najdalsze okolice, zawsze gwar-

ne i rojne od pieszych i jadących Europejczyków, Chińczyków i Japończyków.

Zdała widać wysokie, masywne w kształcie góry, porośłe gęsto dziewiczym lasem, którego drzewa oplecione roślinami pnąciami tak gęsto, że trudno rozróżnić wśród nich kształt drzewa. W niektórych miejscach tworzą te pnące jakby wiążące mosty nad dziko ryczącymi, po olbrzymich głazach rzekami. Owdzie tworzy ten splot roślin gęstą, zwartą ścianę, o której przebicciu nawet ni-

komu się nie marzy. Kolej biegnie wśród tych obrosniętych gór wężowym szlakiem głębokich jarów, wąwozów, szerokich dolin; często przejeżdża przez olbrzymie mosty nad szumiącymi górskimi rzekami.

W niektórych zaledwie miejscach migną ukryte w gąszczu palm spiczaste, podwójne dachy tubylczych chat i opodal uprawne pola ryżowe. świadczące, że jednak są tu gdzieś ludzie. Widzi się też ludzi na większych stacjach, które sterczą samotnie wśród nieprzejrzanego puszczy. Jednak owi ludzie reprezentowani są zwykle przez kilku handlujących krajowców oraz kobiety i dzieci, roznoszące owoce i chłodzące napoje w postaci różnych soków owocowych. Jedyny ruch na niektórych stacjach czynią gromadki małp, najróżnorodniejszego gatunku, które oczekują od podróżnych poczęstunku w postaci owoców i skórek bananów. Zachowują się przytem wprost nieprzyzwoicie, śmiało, zarazem ostrożnie i sprytnie tak, że o schwytaniu marzyć niepodobna, ale o odpędzeniu również nie. Żegnając odjeżdżający pociąg najzabawniejszymi w świecie podrygami, minami i okrzykami krrr..., zbierają się do odwrotu, piastując pieczołowicie wyrzucone pudełka od papierosów.

Często zdarza się, że z groźnym pomrukiem podziemnych grzmotów strzasają wgzórze z siebie mosty żelazne, jak niemiłe dla ich pierwotnej natury, natrętne owady i zamieniają je bezkarnie w szczątki, nad którymi pastwią się fale górskich rzek i spadające z olbrzymich gór głązy.

Jeden ze skutków takiego „pomruku niezadowolenia” obserwujemy na jednej z większych stacji. Budynek zarysowany zygzakowato, kawałek dawnego nasypu kolejowego z torem pokrzywionym straszliwie, a z boku góra świeżo wyrosła z otchłani ziemi.

Śmiesznie wprost wyglądają betonowe podpory, przy których pracują, niby mrówki, krajowcy. Cóż znaczą te podpory wobec nowego pomruku olbrzymów? W pobliżu widzimy również ślady dawnego mostu kolejowego, którego rozrzucone części świadczą o sile trzęsienia ziemi.

Po kilku godzinach jazdy krajobraz się zmienia. Góry się oddaliły, a zato w nizinym szerokim pasie kraju spotykamy ludniejsze kampony i na szerokich gościńcach niejaki ruch. U samego nasypu kolejowego rozciąga się przed nami nagle widok na olbrzymie jezioro Sinkarak. Widok tego wodnego basenu, obramowanego z jednej strony malowniczymi górami, a z drugiej nachyleni nad wodą palmami, i wśród nich charakterystycznymi chatami o spiczastych dachach, towarzyszy nam przez kilka godzin. U brzegu kołyszają się

zgrabne czółna, też, spiczasto zakończone i często takimż daszkiem ozdobione. Kąpią się w falach postacie ludzkie i wielkie stada olbrzymich wołów, podobnych do naszych żubrów, które od czasu do czasu wychylają głowy z orzeźwiającej fali dla zaczerpnięcia powietrza i znów dają nurka w wodnej topieli, chroniąc się przed palącymi promieniami równikowego słońca.

Z tego jeziora biorą początek niektóre z największych rzek Sumatry, które wylewają jego wody ku wschodniej stronie olbrzymiej wyspy. I tak niedaleko miejscowości Sandaranagoeng wytacza się majestatycznym płasem rzeka Merangin, zwana później Tembessi, a później Hari, która obok Mocarah sabah wlewa się w cieśninę Berhala. Przy jej brzegach wre ustawiczne życie: mnóstwo kobiet i dzieci, które zapomocą specjalnych koszyków wylawiają jadalne ślimaki. Chłopcy i starsi łowią ryby, inni kąpią się i potem, oblekwszy białą śmiertelną zasłonę, wybijają na olbrzymich głazach pokłony Allahowi. Dzieci wrzeszczą i płaczą, jak na całym świecie i zabawiają się w wodzie muszełkami.

Widok wspaniałego jeziora, ciągnącego się owalnym kształtem, na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów, towarzyszy nam przez parę godzin, aż wreszcie kończy się wieńcem palm i bambusowych trzciny u brzegu.

I znów zbliżamy się ku górom, które wystają nagle przed oczyma. Mijamy kilka tunelów, wydrążonych w dobrodusznym na pozór olbrzymach górskich i wysiadamy w Sowah Loento. Miejscowość ta, położona między górami, dochodzącymi 2.000 m., nosi na sobie piętno miejscowości kopalnianej. Na pierwszy plan wybijają się olbrzymia elektrownia, magazyny i kolejka zębata w ustawicznym ruchu oraz ogromne zabudowania więziennicze. Rozległe kopalnie węgla przedstawiają się tu inaczej niż gdzieindziej, ze względu na to, że węgiel leży u warstwami poziomymi widocznymi dokładnie na ścianach gór, tworząc niby przekładaniec mineralny. To też nie kopią w głąb ziemi, tylko korytarze, biegnące poziomo z jednej strony góry na drugą. W miejsce wykopanego węgla wsypuje się przy pomocy wody piasek z góry i zapełnia się tak już niepotrzebny korytarz. Robotnikami są przeważnie aresztanci, gdyż więzienie jest tu przepełnione zwłaszcza komunistami. To też w każdym tunelu znajduje się u wyjścia straż policyjna, która przeprowadza gruntowną rewizję wjeżdżających wózków i wchodzących ludzi. Wózki poruszane elektrycznością usunęły całkowicie konie, i podobno zmniejszyły przez to chmury moskitów i szczurów.

Poza aresztantami pracują także w znacznej

liczbie kontraktanci, którzy jednak nie myślą zbyt ściśle przestrzegać umowy. Płaca przeciętnego robotnika wynosi tu przeszło 60 ctn., t. j. przeszło 2 zł. dziennie, co na tutejsze stosunki jest bardzo wiele.

Tubylcy nie szczytają się wielką siłą, pracują leniwie, powoli i tylko w znacznej liczbie, a gdy sprzykrzy im się praca, uciekają do lasu tak, że odnaleźć ich trudno, a od czasu do czasu, czynią gromadne wyprawy do samotnych kamponów po kury, ryż i t. d., naturalnie przywłaszczając sobie wszystko bezpłatnie. W ostateczności wpadają w ręce policji i z uśmiechem zadowolenia udają się do aresztu, gdzie prowadzą życie bez troski, choć zmuszeni są pracować. W każdą niedzielę gromadzą się przed więzieniem tłumy, rodzin, przybywających z pożywieniem w odwiedzinach do aresztantów. Gromadzi się tu cały folklor okoliczny, interesujące typy kobiet, starców i dzieci. Młodzińców brak, gdyż ci naturalnie „siedzą”. Nigdy prawie się nie zdarza, by przychodziła któremu ochota uciec z więzienia, jak to czynią ze wstrętu do pracy, nawet przeciwnie, zdarza się mnóstwo wypadków, że wypuszczony z więzienia, odwiedziwszy rodzinę i popłatawszy się tu i ówdzie stara się nowem „przeskrobaniem” przedłużyć swój pobyt w więzieniu.

Wolni tubylcy z zamiłowaniem piastują zawód szoferów, gdyż auta mają tu ogromne powodzenie. Każdy tubylec uważa sobie za punkt honoru większość swych zarobionych pieniędzy wydać na przejażdżki autem; nie uważają tego wcale za zbytek. Reszta pozostałych pieniędzy idzie znów na zakupienie strzelających pukawek, którymi przez cały dzień, a zwłaszcza w wieczory, czyni wkoło ustawiczne hałasy.

Jednak, jadąc koleją, nie można tak dokładnie wniknąć w duszę tego kraju i dopiero autem

naprawdę można dotrzeć w inne strony, przez linję kolejową nie dosięgłe, albowiem w najbardziej dzikie okolice prowadzą wygodne i starannie utrzymane drogi, łącząc ze sobą większe ośrodki życia olbrzymiej wyspy. Auto też zawozi nas w najciekawsze i najbardziej malownicze okolice Sumarty. Pomniejsze miasta Soloh, Fort van Capellen, Fort de Cock, Padang Paudjang i wiele innych, osiagamy w kilku wycieczkach samochodowych.

Najciekawsze z nich, to Fort de Cock, wysoko w górach położone. Tu w pobliżu wznosi się wulkaniczny szczyt Merapi, sięgający 2.890 m., który niedawno, bo w zeszłym roku, poczynił swym wybuchem dotkliwie szkody w sąsiednich kamponach i osadach. Niedaleko bierze początek rzeka Kampir Kiri, która przy ujściu rozlewa się w olbrzymi liman, ginący w falach cieśniny Malakka oraz piękna rzeka Kwantan, zwana później Indragiri, która deltowem ujściem swych wód zapełnia olbrzymi zalew Amfitrite.

Najciekawsze wrażenia przeżywa jednak człowiek nie w miastach, które nic szczególnego nie przedstawiają, ale właśnie w drodze przez dzikie puszcze t. zw. „rimbu”, gdzie nie spotyka się na lekarstwo ludzkiej istoty, albowiem na to potrzeba niemałej odwagi — ze względu na obfitość fauny. W aucie czujemy się zupełnie bezpieczni i jadąc zwolna piękną drogą wśród rimbu, z przyjemnością obserwujemy igraszki i zabawne skoki małp, które gromadnie siedzą na pobliskich drzewach, nierzadko uganiają się po gościńcu, a na odgłos trąbki szybko zmykają na najbliższe krzewy, wykrzywiając się pocieszenie. Często zdarza się przejechać mniej lub więcej okazałego węża. A nad głową słychać niezliczone hałasy ptactwa, napelniającego gąszcze rimbu gwarem i krzykiem. W głębi puszczy nie brak i grubego zwierzra drapieżnego, jak tygrysa, jaguara i in.

KRONIKA ZAGRANICZNA.

Argentyna.

Wynaradawianie się Polaków w Argentynie. „Niezależny Kurjer Polski”, wychodzący w Buenos-Aires w Argentynie, pisze: „Na nieszczęście w Argentynie Polacy bardzo prędko się wynaradawiają. Pewnego razu byłem u znajomej rodziny. Mówiono o tem i owem po polsku, gdy nagle ojciec rodziny krzyczy na dziecko: — corre“ leć i przynieś „aqi“ tą „cajite“ co leży na „medio del patio“. Jestem pewny, że gdyby babka lub prababka słyszała taką „polską“ mowę to nie zrozumiałaby co powiada jej syn do wnuka. Charakterystyczny objaw można zauważyć w Argentynie, a mianowicie

ten, że nasi rodacy „spolszczają“ hiszpańską mowę. Naprzykład: „mentyra“ są to kłamstwa, idę do „panaderyji“ czyli idę do piekarni, siedzi w „kmedorze“ to znaczy siedzi w jadalnym pokoju.

Po co to. Nie psujmy hiszpańskiego języka wzbogacając polski jakimś dziwolągami i paplaniną, która nie tylko nie przyczynia się do wskrzeszenia ducha narodowego, lecz ostudza patriotyzm“.

Ciężkie położenie plantatorów yerby. Komitet zjednoczonych plantatorów yerby (herbata paragwajska) w Missones w Argentynie wystosował do Prezydenta dr-a Irigoyena telegram z prośbą, by rząd centralny zechciał im przyjść z pomocą.

Położenie ich jest tego rodzaju, że dotychczas nie zdołali sprzedać zapasów przeszłorocznej yerby. O pozbyciu się yerby tegorocznej niema mowy wobec zastoju na rynku wewnętrznym. Mimo kilkakrotnych memorjałów doręczonych osobiście w Stolicy Rząd Centralny nie śpieszy się z wyasygnowaniem kredytów. Cierpi na tem zarówno plantator jak i kupiec, który od klientów swoich nie może doczekać się pieniędzy. Jak wiadomo, w Missiones, na 70.000 mieszkańców, znajduje się 12.000 kolonistów polskich i ukraińskich, zajmujących się przeważnie plantowaniem yerby.

Kryzys w Patagonji. Położenie hodowców bydła i owiec w Patagonji (południowa Argentyna) w niczem się nie poprawiło. Jedyna w tej okolicy Frigorifico (rzeźnia w Rio Chico zasypiana jest ofertami hodowców, którzy chcą pozbyć się bydła za wszelką cenę. Z tego korzysta rzeźnia, płacąc ceny według własnego upodobania. Najwięcej zaszkodziło tamtejszym hodowcom, że nie mogą w żaden sposób sprzedać wełny tegorocznej strzyży, na którą brak wogóle popytu.

Kolej Santa Fe pracuje nad rozwojem rolnictwa. Kolej Santa Fe rozwija dodatnią czynność w kierunku podniesienia produkcji rolnej. Poza plakatami rozwieszonymi na stacjach, kolej organizuje wykłady popularne dla rolników, teraz zaś urządziła służbę gratisową, by umożliwić producentom czyszczenie ziarna siewnego. Na linji z Rosario do Villa Maria, San Cristobal i Galvez kursuje pociąg specjalny wyposażony w specjalne maszyny jak trjery, — młynki i t. d., które czyszczą nasienie pszenicy. Od marca kolej Santa Fe uruchomiła taki pociąg z Rosario do Lanteri, aby przysposobić dla rolników tamtejszych dobre nasienie lnu.

Australja

Polacy w Australji. Niedawno przybył do Warszawy z wizytą do swej rodziny p. Robert Sanders, który mając lat 17, wyjechał do Australji i dotychczas tam przebywa na wybitnem stanowisku. Udzielił on jednemu z pism stołecznych obszernego wywiadu, z którego dowiadujemy się in interesujących rzeczy o Polakach, mieszkających w Australji. Jest ich tam około dwóch tysięcy i cieszą się wielkiem szacunkiem i poważaniem. Niektórzy odgrywają bardzo wybitną rolę w życiu i stosunkach miejscowych. W Melbourne — największem mieście australijskiem — niema takiego człowieka, któryby nie znał sędziego Wojnarskiego. Ten 60-letni dżentelmen słynie z wyjątkowej sprawiedliwości. Swoje polskie pochodzenie podkreśla z dumą. Jego syn niedawno poślubił córkę generalnego gubernatora. Zarówno zięć wicekróla związku australijskiego, jak i jego dwie siostry — panny, stanowiące najświetniejsze partje wśród arystokracji w Melbourne — zachowują głęboki kult dla wszystkiego, co polskie. Nie wypiera się też swego polskiego pochodzenia Teodor Fink, dziś sędziwy 82-letni arcymiljoner. Przed wielu, wielu laty zjechał do Australji, początkowo trudniąc się roznoszeniem gazet. Dziś jest właścicielem wydawnictwa, ogniskującego 30 gazet codziennych, w tem „Herold“, największe pismo wieczorne na świecie. Dalej jest Fink właścicielem

wielkiej radjowej stacji nadawczej i wszystkich teatrów australijskich, a poza tem posiadaczem 98 kin i różnych wielkich przedsiębiorstw. Głośny jest też w Melbourne Żyd łódzki, Meyer, ongiś zaczynający od domokrażnego handlu, dziś właściciel kilkudziesięciu domów czynszowych i całego szeregu wielkich firm. Niedawno ofiarował on 250.000 funtów szterlingów na uniwersytet i takąż sumę na szpital. Dużą popularnością cieszy się Stanisław Tarczyński, utalentowany dyrektor konserwatorium, który przyczynił się do spopularyzowania wyrazu „pan“ w Melbourne. Zawsze bowiem prosi, aby na afiszach i we wszystkich wzmiankach zamiast powszechnie przyjętego „mister“ pisano mu „pan“. To też przeciętny australczyk, mówiąc o nim, nie mówi inaczej, jak pan Tarczyński. Na zapytanie, jakie obecnie istnieją warunki dla emigracji polskiej w Australję, odpowiedział p. Sanders, że są bezprzykładnie ciężkie. W Australji problem bezrobocia jest znacznie cięższy, niż w Polsce. Wyjazd dziś zgola nie opłaciłby się, nawet w wypadku posiadania fachu i pieniędzy, niezbędnych na przetrzymanie. Czasy, kiedy Australja była złotem jabłkiem, jeżeli nie minęły bezpowrotnie, to w każdym razie na długo niem być przestały.

Brazylja

Ważny dekret Prezydenta Parany. Pomimo ciężkiego położenia w jakim znajduje się kasa rządowa Parany, prezydent Camargo podpisał dekret, że od ziemi, której przestrzeń wynosi tylko 1 alker, posiadacze nie będą płacili żadnych podatków.

Belgja.

Polacy w Belgji. Często czytamy w „Wychoźcy“ o stosunkach wśród Polaków we Francji, natomiast o Polakach w Belgji bardzo rzadko, z tego też powodu chciałbym napisać o nich parę słów. Przedewszystkiem co do pracy i zarobków, otóż jak wiadomo Polcy przybywający do Belgji dostają robotę tylko w kopalniach węgla w fabrykach pracuje bardzo mały procent Polaków. Praca w kopalniach belgijskich jest naogół mniej ciężka niż we francuskich, ale natomiast prawie wszystkie kopalnie posiadają niskie pokłady i pod względem technicznym są gorzej urządzone od francuskich, dlatego też wypadki śmiertelne powtarzają się dość często. Chociaż Polacy cieszą się opinią dobrych pracowników, jednakże są gorzej płaćni od pracowników belgijskich, francuskich a nawet marokańskich, gdyż ci ostatni zarabiają za osiem godzin pracy na dobę 52 fr. belg. Polacy zaś najwyżej 48 fr. 66 cent. i jeszcze w dodatku w ostatnich czasach w niektórych kopalniach zmniejszono im płać do 43 fr. Cemu to przypisać? Życie w belgji jest naturalnie droższe niż w Polsce, za wyjątkiem tytoniu i artykułów kolonialnych, które są znacznie tańsze. Co zaś do traktowania Polaków przez Belgów, to o ile Waloni (Belgijczycy mówiący po francusku) odnoszą się dość przychylnie do Polaków, o tyle Flaman-

dzi są wrogo usposobieni do obcokrajowców a szczególnie do Polaków. Mieszkania po większych miastach z łatwością można dostać zaś po małych kolonjach nie chcą ich odnajmować. Co do spraw kulturalnych wśród Polaków w Belgji, to też nie przedstawiają się one w korzystnym świetle: prasy polskiej w Belgji brak, zaś pism polskich zarówno wychodzących w Polsce jak i we Francji trudno dostać, o ile się ich nie prenumeruje. Co do towarzystw, to istnieją Tow. Górnik pod wezwaniem św. Barbary, „Sokół“ oraz Rel. Tow. Ośw., które posiadają swój Zarząd Centralny. Towarzystwa te jednak wykazują mało żywotności, tego też powodu nie cieszą się popularnością.

J. Lesiak.

Chiny.

Szkołka polska w Szanghaju. Członek Związku Młodzieży Polskiej w Chinach p. Sz. Franczyk, pisze w liście z Szanghaju: „Po przyjeździe do Szanghaju udałem się do „Związku Polaków“, by się zarejestrować. Tu, gdy się dowiedziano, że jestem członkiem Związku Młodzieży Polskiej i nauczycielem, zaproponowano mi uruchomienie szkoły początkowej dla dzieci pol. w Szanghaju z wykładami języka polskiego, historii i geografii polskiej oraz religji. Propozycję przyjąłem. Do szkoły zgłosiło się narazie 12 dzieci w wieku od 6 do 15 lat. W krótkim czasie ma się zapisać jeszcze około 15. Z dzieci tych zaledwie 3—4 mówi po polsku nieźle, reszta mówi po angielsku, przeważnie po rosyjsku. Lekcje w utworzonej szkole polskiej będą się odbywały 2 — 3 razy w tygodniu, ponieważ dzieci uczą się stale w szkołach angielskich lub rosyjskich. Uczuwa się wielki brak podręczników zarówno dla uczniów jak i dla nauczyciela.

Zamieszkuje w Szanghaju około 300 Polaków.

Francja.

O Dom Wychodźstwa Polskiego w Nancy. P. C. Kuncewiczowa, delegatka P. T. E. we Francji, zamieszkała w jednym z numerów „Narodowca“, wychodzącego w Lens (pn. Francja), artykuł p. t. „Znaczenie Domu Polskiego w Nancy“. Przytaczamy z niego ważniejsze wyjątki. „Wielki ośrodek naszej wiekowej kultury Nancy nie może również pochwalić się „Domem Polskim“ a zebrania odbywają się w kawiarniach zwykle podrzędnych, wypadkowo w lepszej Cefe-Foy. Z nieopisanie przykrem uczuciem odbywałam i tam zebrania, gdzie okna jakby wprost na urągowisko wychodzą na plac króla Leszczyńskiego, posąg którego zagłada i grozą przeszywa nas Polaków, obradujących nawet nad sprawami szkolnictwa przy kieliszku. Bezwzględnie w Nancy winien stanąć „Dom Polski“, początkowo bądź w wwnajętym domu, co pociągnęłoby za sobą wydatek 25.000 fr. na kilkoletnią dzierżawę. Tam należałoby skupić całe życie polskie, dziś tak rozproszone, a tak duże i bogate nawet tradycją. Zorganizowane ośrodka jest tem łatwiejsze, że Nancy ma Opiekę Polską, Stowarzysz. Studentów Polaków, wiele Towarzystw kulturalnych, kuchnię studencką prywatną i moc studentów, goniących stale za możliwym lo-

kalem. Myśl ta oddawna kiełkowała w Nancy, niestety dziś już zupełnie upadła, zebrany przed laty niewielki fundusz na budowę domu obecnie zwrócono. Budowa własnego Domu w obecnej chwili jest nierealna, realne jednak i zupełnie wykonalne jest wydzierżawienie całego domu i skupienie życia emigrantów w „Domu Polskim“, do którego miałby przystęp zarówno biedny jak i bogaty, a zebrania nareszcie nabrałyby właściwego charakteru i stanęły na racjonalnym poziomie. Realizację tej myśli rozumiem w ten sposób: zapoczątkowanie należy do Rządu, który winien ofiarować kilka tysięcy. Ześrodkowanie opłaty za lokal Opieki, Stow. Studentów, rocznego opodatkowania Towarzystwa za prawo używania sali, wreszcie czynszu za lokal — oto drugie źródło.

Kanada.

Ile wydała Kanada na imigrację? Według raportu przedłożonego w Izbie Gmin, Kanada wydała w przeciągu siedmiu lat \$20,384.500 na cele imigracji, czyli blisko 3 miliony dolarów rocznie. W liczbie tej zamknięty jest wydatek \$1,249.687 na urządzenie wystawy w Wembley, w Anglii, w r. 1924 i \$2.102.800 na osadnictwo Brytyjczyków w dominium. Na plan sprowadzenia i ewentualnie osadzenia na roli 3.000 rodzin brytyjskich, wydał rząd \$411.725, zaś na cele opieki nad bryt. osadnikami 1.411.780 dol. Cyfry powyższe wskazują dobitnie, że emigracji z wysp brytyjskich do Kanady jest zbyt kosztowna: eksperyment ten pochłonął miliony dolarów, a kraj niewiele z niego skorzystał. Zdaje się, że zrozumiały to miarodajne władze kanadyjskie, skoro wszelkie wydatki na podróż emigrantów brytyjskich zostały obecnie zniesione.

Stany Zjednoczone.

Filipińczycy w Kalifornji. Co jakiś czas gazety donoszą o krwawych samosadach, dokonywanych w Stanach Zjednoczonych na murzynach; obecnie prasa donosi o gwałtach Jankesów nad żółtymi Filipińczykami, którzy jako poddani amerykańscy w większej nieco liczbie napłynęli do Stanów. Oto co w tej sprawie pisze detroicki „Dziennik Polski“:

„Trzeci już raz Azja puka do bram Ameryki nie w sposób gwałtowny, nie z bronią w ręku, lecz w postaci tłumów emigrantów, szukających pracy. Wjazd do Stanów Zjednoczonych z Azji odbywa się przez Kalifornję. Tam kierowały się niegdyś tysiące Chińczyków i stamtąd rozchodziły się na wschód. Prawo, zakazujące wstępu Chińczykom do Stanów Zjednoczonych z wyjątkiem dyplomatów i kupców na krótki termin, zapobiegło temu pierwszemu najeźdźcy. Przyszedł niedługo drugi z Japonji. W mniejszej liczbie, lecz jednak w dość znacznej, aby zaalarmować białą ludność, zaczęli napływać do Kalifornji noddani mikada. Różnica była ta, że podczas gdy Chińczycy rozpełzli się po wszystkich wielkich miastach, tworząc w nich liczne kolonie, emigranci japońscy zabrali się do wykupywania kalifornijskich sadów i ogrodów. Przyszła kolej i na nich. Prawo immigracyjne wstrzymało napływ Japończyków

ku wielkiej obrazie Japonji, która omal nie pokłóciła się na serjo ze Stanami Zjednoczonymi o despekt wyrządzony jej synom. Załatwiało się to jakoś i już się zapomniało.

Aliści nastąpił trzeci najazd na ten raz z Filipin. Trzydzieści przeszło lat rządów amerykańskich na Filipinach wytworzyło nowe pokolenie Filipińczyków, z dobrem wykształceniem, ze znajomością angielskiego języka, z europejskimi manierami i z poczuciem równości w stosunku do Amerykanów. Nie jest to już migracja, bo Filipińczycy, jako obywatele Stanów Zjednoczonych, mają prawo przyjeżdżać do Kalifornji, osiedlać się tam i zajmować się czem chcą i potrafią. Praca ich na farmach, w handlu, w biurach jest wcale wydajną. Zachowanie się ich jest bez zarzutu. W klubach filipińskich w Kalifornji bywają miejscowi mieszkańcy z rodzinami i Amerykanami. Ale jednak duma czy pycha białych uczuła się się dotkniętą. Rozpoczęły się rozruchy, napady na kluby, wybijanie okien, turbowanie ludzi.

Kalifornja poraz trzeci protestuje przeciw najazdowi Azjatów, ale tym razem nie może wydać zakazu imigracji. Jak nie można obłożyć cłem filipińskiego cukru, który robi konkurencję amerykańskim plantacjom, tak nie można zakazać wolności ruchu mieszkańcom wysp, które są częścią terytorjum Stanów Zjednoczonych. Niema innej rady, jak wprzód dać Filipińczykom niepodległość, a następnie zastosować do nich prawo przeciw imigrantom. Do argumentu cukrowego, który już działa w kongresie, przyłącza się obecnie drugi argument — protest Kalifornijczyków przeciw napływowi niepożądanych gości. Miały rację w swoim czasie Stany Zjednoczone zabierając Filipiny po wojnie z Hiszpanją. Pozostawienie wtedy tych wysp w stanie niby niepodległości wciągnęłoby Amerykę w zatarg z Japonją, Anglją i Niemcami. Każdy czyhał wtedy na ten spadek po Hiszpanji i nie było innej rady, jak zatknąć tam flagę amerykańską. Ale czas zrobił swoje. Wyrosło na Filipinach nowe pokolenie wychowane w dobrej szkole i dostatecznie przygotowane do samodzielnego życia politycznego. Niema dziś racji wstrzymywać ten wymiar sprawiedliwości. Dużo wprawdzie kapitałów amerykańskich ugrzęzło w Filipinach i jest obawa, że niepodległa filipińska republika może wyrządzić jakąś krzywdę ich właścicielom. Ale na to są traktaty i gwarancje. Jedno z dwojga. Albo cierpieć dalej najazd tych sympatycznych Azjatów na słoneczną Kolifornję, albo podnieść ich do godności niezależnych od nikogo gospodarzy swojej ziemi i zamknąć przed nimi drzwi do Kalifornji.

Co czyta publiczność amerykańska? Alfred Knopf, wydawca amerykański, cieszący się wielkiem powodzeniem, powiedział dziennikarzom francuskim, jakie książki czytają Amerykanie.

Przedewszystkiem nie znoszą książek dotyczących prohibicji. Już dosyć, jeśli muszą o niej czytać w dziennikach! Prohibicja jest zmorą każdego niemal Amerykanina, o której radby zapomnieć.

Natomiast ogromną poczytnością cieszą się książki o treści wojennej, a zwłaszcza z czasów wojny światowej.

Co do importu literatury zagranicznej, to

prym dierzą naturalnie książki z Anglji, następnie niemieckie, potem zaś skandynawskie.

Dla współczesnej literatury francuskiej, mają Amerykanie tak mało zrozumienia, że po większej części nie opłaca się ich tłómaczyć.

To samo dotyczy i literatury polskiej.

Wobec tego nie można się dziwić, dlaczego w Stanach Zjednoczonych młodzież polskiego pochodzenia, zrodzona i wychowana w otoczeniu amerykańskim, nie rwie się do polskiej książki i polskiej literatury.

Echa artykułu „Wychodźcy”. Nasz artykuł „Francja — spadkobierczynią Stanów Zjednoczonych” odbił się żywym echem w polskiej prasie wychodźczej. Na podkreślenie zasługuje głos „Dziennika Polskiego”, wychodzącego w Detroit, który przytoczył prawie w całości ten artykuł i zaopatrzył go w następujący komentarz: „Bezwątpienia, artykuł powyższy zawiera wiele znamienych i trafnych uwag, a przedewszystkiem prawd, które stwierdza życie codzienne. Faktem bowiem jest niezaprzeczonym, że Stany Zjednoczone zawdzięczają w dużej mierze wzrost swego bogactwa temu, iż przybywały do tego kraju miliony imigrantów już jako ludzie dorośli, w pełni sił, na których wychowanie i wykształcenie kraj ten nie potrzebowałłożyć ani jednego złamanego centa.

Ludzie ci, siły ich, — ich praca, — był to czysty kapitał, jakim stara Europa obdarzała nowy kontynent amerykański, — kapitał, na który Ameryka nie pracowała, którego się nie dorabiała.

Pozatem, ten sam robotnik imigrant, który przychodził tu, by pracować, by wytwarzać różne artykuły przemysłowe, był równocześnie i najlepszym konsumentem tych artykułów. Są to fakty, którym nikt nie może zaprzeczyć, — a życie potwierdza ich prawdziwość.”

Działalność oświatowa Związku Narodowego Polskiego. Pan Z. B. Dybowski tak pisze w „Wiadomościach Codziennych”, wychodzących w Cleveland: „Wydział Oświaty przy Związku Narodowym Polskim wydał odezwę do Braci Związkowej, aby energicznie zabrała się do pracy oświatowej wśród wychodźstwa. Apel ten może w zupełności być zastosowany przez wszystkie inne zrzeszenia i organizacje czyli przez całe wychodźstwo, bo program nakreślony jest piękny. Cóż mówi. Ano mówi, jak następuje:

— Zakładajcie szkoły języka polskiego, sobotnie, wakacyjne lub wieczorne, aby dzieci wasze nauczyły się w słowie i piśmie ojczystego języka. Obowiązek to Wasz święty, o ile nie chcecie się narazić na przekleństwo i zlorzeczenie swych dzieci, gdy podrosną.

Zakładajcie biblioteki i doksztalcajcie się. Oświata przynosi za sobą szacunek bliźnich i lepsza byt materialny.

Zakładajcie przy swych towarzystwach Kółka literacko-dramatyczne. Żywe słowo ze sceny podnosi ducha narodu, zwłaszcza u młodzieży, udoskonala język ojczysty i kształci ogólnie.

W krótkich zdaniach pomieszcza tu Wydział Oświaty trzy czynniki może najdonioślejsze dla atakowanej z wielu stron przyszłej polskośći wychodźstwa.

Szkoły doksztalcające, które bez względu na obozy naszej Polonji, uznane są powszechnie za ostoję polskiego ducha w wychodźczej diatwie.

Biblioteki, ta skarbonka ojczyściej mowy i kultury, bez której pielęgnowanie narodowego poczucia nie da się pomyśleć.

Wreszcie teatr ludowy, uprawiany przez kółka literacko-dramatyczne.

Jeśli by całe wychodźstwo w myśl tych wskazań pracowało, mielibyśmy w bardzo krótkim czasie wielkie wyniki. Wiadomą rzeczą jest, że polskiej młodzieży w wieku szkolnym w Ameryce jest przeszło 600.000. Za ledwie niespełną połowę młodzieży tej uczęszcza do szkół parafjalnych, gdzie ma możliwość choć cokolwiek uczyć się po polsku. Druga połowa uczęszcza do szkół publicznych, gdzie ani się po polsku nie uczy, ani nawet nie o Polsce nie słyszy.

Dlatego też obowiązkiem wychodźstwa jest zakładać jak najwięcej szkółek polskich, aby ratować działość. Dla starszej młodzieży powinno się zakładać biblioteczki oraz organizować z nich towarzystwa literacko-dramatyczne, któreby się zajęły organizowaniem przedstawienia amatorskiego.

Yankesi piją, jak za dawnych lat. W przeciągu miesiąca stycznia agenci federalni prohibicyjni odkryli i zamknęli w Stanach Zjednoczonych 1,600 tajnych gorzelni najrozmaitszej wielkości, od rozmiaru szklanki aż do dużych, mogących wyprodukować do 2,000 galonów alkoholu dziennie. James M. Doran, komisarz prohibicyjny, oświadczył, że 730 z nich pędziło wódkę z cukru kukurydżowego. Gorzelnie te znajdowały się po większej części w Chicago, Detroit, Filadelfji, Pittsburghu, Cleveland i Nowej Anglii. Koszt ich wynosił w przecięciu od 10 do 50 tysięcy dolarów, a dzienna produkcja wynosiła od 1,000 do 2,000 galonów dziennie. Zużywały one 2 wagony cukru kukurydżowego dziennie. Z tych wszystkich gorzelni tylko 90 miało aparaty do usuwania denaturatu z alkoholu używanego w przemyśle.

60-lecie prasy polskiej w Stanach Zjednoczonych. Redaktor „Sokoła Polskiego”, wychodzącego w Pittsburgu w Stanach Zjedn., pisze w art. p. t.: „Na 60-lecie naszej prasy w Ameryce”:

Prasa nasza będąca obecnie w pełnym rozkwicie (bo nie widać wcale tego „upadku” o którym już tu i ówdzie mówi)—żyłot swój rozpoczęła d. 22 lutego 1870 r. W dniu tym ukazał się pierwszy numer pierwszego pisma polskiego dla użytku tych emigrantów polskich, którzy w owym czasie napływać zaczęli do Ameryki w coraz większych gromadach. Był to „Orzeł Polski” powołany do życia w Washingtonie, powiat Franklin, Stan. Missouri.—Wychodziło wprawdzie przedtem jeszcze, bo w roku 1863 w Nowym Yorku „Echo z Polski”, a że było organem emigracji politycznej, informującym tę nieliczną gromadkę o przebiegu powstania i wkrótce potem upadło, nie można powiedzieć, by od niego żyłot naszej prasy dzisiejszej wziął swój początek. „Orzeł Polski” wychodził także tylko trzy lata, bo do lutego 1873 roku, ale jego miejsce zajął w tem samym mieście zaraz „Pielgrzym” przekształcony później na „Gazetę Katolicką” w Chicago i w tym samym roku powstała w Nowym Yorku „Swoboda”, a w następnym (1873) „Gazeta Polska” (Dyniewiczza) w Chicago, więc istotnie dopiero dzień 22 lutego 1870 roku, urodziny „Orla

Polskiego”, mogą być uznane za dzień urodzin prasy polskiej w Ameryce.

Równe 60 lat temu!

Straż graniczna amerykańska ma być zorganizowana na wzór polskiej? Prasa polsko-amerykańska podaje iż amerykańska straż pograniczna ma być zreorganizowana na wzór polskiej, według opinii ekspertów wojskowych uznanej za najlepszą na świecie.

Projekt ten ma gorąco popierać sam prezydent Hoover, oraz departament skarbu i sprawiedliwości. Może wiadomość ta otworzy oczy wielu i udowodni, że jednak większość wiadomości kolportowanych najczęściej przez wrogów o polskim bezrządzie, to tylko zwykłe plotki i insynnacje.

Plan nowych ograniczeń imigracyjnych w Stanach Zjednoczonych. Harry E. Hull, którego prez. H. Hoover ponownie zamianował generalnym komisarzem imigracji, twierdzi, że dobór imigrantów wyleczy kraj z bezrobocia i zbrodni, a także polepszy stosunki gospodarcze pod każdym względem. Hull powiada, że przy obecnym prawie imigracyjnym tysiące — niepotrzebnych obcych robotników przybywają co roku do Ameryki. Hull chce, aby obecne prawa zastąpić doбором imigrantów. Jego zdaniem dobór taki jest łatwy. Każdy, kto chce jechać do Ameryki, byłby pytany gdzie chce osiedlić się i co chce tam robić. Urząd imigracyjny badałby, czy rzeczywiście potrzeba tam takiego robotnika. Gdyby okazał się zbędny, nie otrzymałby pozwolenia na przyjazd.

W kongresie jest już kilka projektów praw, przewidujących ograniczenie i dobór imigracji, ale żaden z nich nie zadawalnia Hulla.

Hull planuje ustanowienie pewnych wymagań, jako minimalnych warunków dopuszczenia imigranta do kraju. Warunki te układałby sekretarz stanu, — handlu, rolnictwa i pracy. Obco-krajowcy, nie odpowiadający im, mieliby wstęp wzbroniony. Hull przypuszcza, że gdyby go posłuchano, nawet przy obecnym prawie imigracja spadłaby do 100,000 a nawet 50,000 osób rocznie, gdyż wiele krajów nie mogłoby wypełnić swych kwot.

Hulla popiera w jego planach Amerykańska Federacja Pracy.

Mamy wrażenie, że realizacja planów amerykańskiego komisarza imigracyjnego wyprowadzi wreszcie z cierpliwości kraje emigracyjne, które prawdopodobnie zrezygnują z wysyłania kwiatu swoich obywateli do Stanów Zjednoczonych.

Z działalności Polskiej Kasy Oszczędności na terenie Ameryki Płn. Na ogólną liczbę 300 polskich Stowarzyszeń i grup polskich, w Manhattan, Brooklynie i Queens około 70 lokuje swe, nieraz wcale pokaźne fundusze i oszczędności w Polskiej Kasie Oszczędności. Cyfra ta świadczy o wzrastającym zaufaniu tamtejszej Polonji do własnych instytucji finansowych. Żądaćby tylko należało pytanie, gdzie umieściło swój dorobek finansowy pozostałe 230 instytucji. Czy czasami nie w obcych instytucjach wspomagając tem samym obcy kapitał, tak często nieprzyjazny Polsce i Polakom?

KRONIKA KRAJOWA

W SPRAWACH WEWNĘTRZNYCH.

Echa 3-go maja. Pisma podają obszernie sprawozdania z obchodu święta 3-go maja w kraju i zagranicą. Wszędzie uroczystości odbywały się w bardzo podniosłym nastroju, przy wielkim udziale publiczności.

Akcja stronnictw opozycyjnych. Stronnictwa opozycyjne w Sejmie postanowiły domagać się zwołania sesji sejmowej. Podanie do p. Prezydenta, opatrzone wymaganą przez konstytucję ilością podpisów zostało już przygotowane i złożone p. Prezydentowi Rzeczypospolitej.

Nowy film egzotyczny. Jedno z kin stołecznych wyświetla przepiękny film egzotyczny, nakręcony przez małżeństwo Johnson w stepach i dżunglach Afryki. Bohaterem filmu jest dzika fauna afrykańska. Widzimy na filmie lwy, słonie, nosorożce, żyrafy, hipopotamy i inne zwierzęta, żyjące jeszcze w zapadłych kątach Afryki.

Spadek bezrobocia. W ciągu ostatnich kilku tygodni ilość bezrobotnych spadła z 296.000 na 273.000.

W SPRAWACH GOSPODARCZYCH.

Podwyżka cen spirytusu i wódek. W Nr. 34 „Dziennika ustaw“ z dnia 7 b. m. ogłoszono rozporządzenie min. skarbu, ustalające nowe normy opłat skarbowych od spirytusu, wyprodukowanego wewnątrz państwa, oraz przywożonego z zagranicy. Rozporządzenie podwyższa cenę sprzedaży spirytusu i wódek monopolowych.

Opłata skarbową będzie wynosiła od spirytusu wyrobionego w kraju 850 zł. od jednego hektolitra, od spirytusu przywożonego z zagranicy 1280 zł.

Cenę kosztów własnych spirytusu oczyszczonego określa się od 1 maja na 190 zł. za hl.

Od 7 maja obowiązuje także nowa cena sprzedaży za 1 hl. 100-proc. spirytusu, a mianowicie za spirytus oczyszczony do wyrobu wódek gatunkowych 1.500 zł., za spirytus oczyszczony na cele lecznicze i domowe 1.500 zł. Za spiritus oczyszczony do wyrobu perfum, wody kolońskiej 500 zł., dla aptek, szpitali 1.040 zł., za spiritus oczyszczony dla wyrobu środków syntetycznych 1.500 zł.

Detaliczna cena sprzedaży czystych wódek wynosi od 7 maja:

Wódka zwykła 1 litr 6 zł. i 6.60 zł., wyborowa 6.90 i 7.60 zł., luksusowa 10.40.

W związku z wprowadzeniem nowych cen, zapasy spirytusu na składzie prywatnych fabryk wódek podlegają dodatkowej opłacie po 150 zł. za 1 hl. Dodatkowej opłacie podlegają również zapasy wyrobów wódeczanych, oraz rozlanego do butelek spirytusu na cele domowe i lecznicze, jakie w dniu 7 maja znajdowały się we wszystkich zakładach sprzedaży takich wyrobów.

Właściciele komisowych i prywatnych hurtowni, miejsc detalicznej sprzedaży oraz prywatne osoby winny złożyć do 10 maja włącznie właściwemu inspektorowi kontroli skarbowej zgłoszenia w dwóch egzemplarzach o posiadanych zapasach spirytusu.

Urzednicy kontroli skarbowej przystąpili już 7 maja do sprawdzania zapasów spirytusów, znajdujących się w komisowych i prywatnych miejscach sprzedaży.

Chłodnia portowa w Gdyni. Już za kilka dni nastąpi całkowite uruchomienie chłodni portowej w Gdyni. Chłodnia, mogąca pomieścić około 700 wagonów towarów, jest wyposażona w najnowocześniejsze urządzenia techniczne i zalicza się do największych tego rodzaju przedsiębiorstw w Europie. Zadaniem chłodni jest przy cenach specjalnie niskich (za składowanie przewiduje się zasadniczo przeciętnie zł. 15 od metra kw. miesięcznie, zaś na wyładowanie towaru z wagonu do chłodni i załadowanie na statek około zł. 7 od tonny) ułatwić eksport z Polski szybko-psujących się towarów, jako to: mięsa, masła, białego drobiu i jaj.

Wywóz trzody chlewnej z Polski. Z inicjatywy czechosłowackiego centralnego związku hodowców trzody chlewnej odbyła się z początkiem kwietnia r. b. w Pradze konferencja kół fachowych z Czech, Moraw, Śląska i Słowaczyny, której przedmiotem było omówienie sprawy hodowli świń i jej samowystarczalności w Czechosłowacji. Zdaniem uczestników zebrania, przywóz świń z zagranicy będzie w niedługim czasie zbyteczny, gdyż Czechosłowacja posiada wszelkie warunki dla samowystarczalności, zwłaszcza jeżeli zastosuje się odpowiednią ochronę celną. Zebrani stwierdzili, że materiał krajowy nadaje się lepiej do produkcji wędlin, aniżeli zagraniczny.

Podobny objaw spostrzegamy w Austrii, mianowicie agrariusze austriaccy, a w szczególności „Niederösterreichische Landes - Landwirtschaftskammer“, reprezentujące interesy sfer włościańskich, nie ustaje w zabiegach popierania rozwoju hodowli trzody w Austrii i wzmożenia dowozów krajowego żywca na targ wiedeński. Dla osiągnięcia tego celu, wspomniana instytucja założyła wspólnie z okręgowymi izbami włościańskimi w punktach centralnych stacje zbiórki.

W STOSUNKACH Z ZAGRANICĄ.

Zjazd ministrów komunikacji. Dnia 7 maja na stacji Jasina w Czechosłowacji nastąpiło uroczyste otwarcie bezpośredniego tranzytowego ruchu kolejowego pasażerskiego i towarowego z Rumunii przez Polskę i Czechosłowację. W zjeździe wzięli udział: minister komunikacji Rzplitej Polskiej p. inż. A. Kühn, minister komunikacji Czechosłowacji p. Meochan i minister Rumunii p. Halipa.

Najważniejsze wiadomości dla wychodźców.

Nie wyjeżdżać do Indyj Holenderskich!

W ostatnich czasach pojawiły się w prasie emigracyjnej ogłoszenia wzywające do emigracji do Indyj Holenderskich. W związku z zainteresowaniem się wychodźstwa tą sprawą, należy ostrzec emigrację przed wyjeżdżaniem do nieznanych bliżej i bardzo odległych miejscowości. Indje Holenderskie posiadają klimat tropikalny, w wielu okolicach nie do zniesienia dla Europejczyka. Następnie Europejczyk, jako zwykły robotnik, nie potrafi konkurować z miejscowym robotnikiem, względnie chińskim kulisem, którzy wobec znikomych potrzeb, zadawalniają się niskim wynagrodzeniem.

Według ostatnio otrzymanych informacji bezrobocie w Indjach Holenderskich obecnie ciągle wzrasta i niema mowy o zapotrzebowaniu na robotników cudzoziemskich.

Jednocześnie dowiadujemy się, że akcja Agence Franko-Polonaise w Metz, 2, rue Michel Praill, która podawała w prasie ogłoszenia wzywające do wyjazdu do Indyj, spotkała się z interwencją władz karno-sądowych francuskich; kierownicy tej agencji zostali już aresztowani.

Na wyjazd do Francji.

Zapotrzebowanie robotników polskich na wyjazd do Francji w maju wynosi: 660 górników wo kopalni węgla, 620 do rudy żelaznej, 750 robotników do przemysłu, 1050 rolników, 450 kobiet. Powyższe kwoty są w następujący sposób rozdzielone między poszczególne Państwowe Urzędy Pośrednictwa Pracy:

	Do kop. węgla	Do rudy żel.	Do przem.	Roln.	Kobiet		Do kop. węgla	Do rudy żel.	Do przem.	Roln.	Kobiet
Kalisz	20	20	10	60	20	Poznań	20	20	10	—	—
Kępno	20	20	10	75	70	Ostrów	20	20	20	—	—
Wieluń	20	20	20	100	50	Bydgoszcz	20	20	20	—	—
Włocławek	10	10	50	20	20	Leszno	20	20	10	—	—
Płock	10	10	20	20	20	Grudziądz	10	10	40	—	—
Wilno	10	10	20	60	20	Inowrocław	20	20	20	—	—
Nowy Sącz	10	10	20	50	20	Sasnowiec	150	100	50	—	—
Kraków	20	20	20	50	20	Chrzanów	65	80	25	—	—
Tarnów	10	10	20	70	20	Biała	75	70	15	—	—
Stanisławów	10	10	20	50	20	Drohiczyn	50	50	50	—	—
Tarnopol	10	10	20	50	20	Równo	—	—	—	50	50
Radomsk	20	20	20	50	20	Ciechanów	—	—	40	95	40
Przemyśl	20	20	30	50	10	Białystok	—	—	40	50	20
Lublin	20	20	40	150	20	Warszawa	—	—	—	—	55
Lwów	20	20	20	20	20	Łódź	—	—	—	—	75

Redakcja i Administracja: Warszawa, Al. Jerozolimskie 33. Tel. 305-63. Konto czekowe PKO. 4909

PRZEDPŁATA
W kraju kwartalnie — 3 zł. W Stanach Zjednoczonych rocznie — 2 dolary. Brazylii — 15 milr. Argentynie — 4 pezy. Francji i innych krajach — 40 frank, francuskich.

CENA OGŁOSZEN: Cała strona — 400 złotych
pół strony 200 złotych, ćwierć strony 100 złotych.
Ostatnia strona o 50 procent drożej.

PRZEDSTAWICIELSTWA:
We Francji — p. Stanisław Klimwicz.
Paris VI. rue St. Placide 49
W Brazylii — p. Staszewski.
Marech: Mallet, Parana.

Wszystkie podwyżki i warunki płatności obowiązują z dniem głoszenia tegoż.

Oddziały polskiego T-wa Emigracyjnego na prowincji: LWÓW, UL. KUBASIEWICZA 3, KIELCE, UL. ŻELAZNA 13.—LUBLIN, UL. KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 46. — BIAŁYSTOK, UL. KILIŃSKIEGO 16. SAMBOR UL. KOPERNIKA 37. ŁUCK, UL. JAGIELLOŃSKA 51. BRZEŚĆ NAD BUGIEM, JAGIELLOŃSKA 34. KRZEMIENIEC SZEROKA 15. HOROCHÓW, KOŚCIELNA 19. DUBNO—WYDZIAŁ POWIATOWY. ZDOŁBUNÓW—NARUTOWICZA 6. ŁÓDŹ, PIOTRKOWSKA 104. KOSTOPOL, UL. KOPERNIKA 4. BIELSK PODL.—MICKIEWICZA 51, udzielają porad i informacji emigrantom.

T R E Ś Ć: Cztery listy z Kanady. — Ucieczka do lasów kolonistów polskich w Brazylii. — Profesor Dyboski o Stanach Zjednoczonych (odcinek). — Zagraniczni robotnicy rolni na Śląsku. — Z Tygodnia Polaka Emigranta. — Wychodźstwo polskie w Brazylii i Stanach Zjednoczonych. — Z prasy krajowej. — Kronika zagraniczna. — Kronika krajowa. — Najważniejsze wiadomości dla wychodźców.

Redaktor: Bohdan Lepecki.

Wydawca: Polskie Towarzystwo Emigracyjne.

Druk. „Stoleczna”, Warszawa, Wolska 16.